

# Rodzina

20. VIII. 1961

Nr 34(59) • ROK II

WARSZAWA

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Cena 2 zł



# DZIESIĘCIU



## EWANGELIA

### NA TRZYNASTĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

**Z**ŁOŻYŁO się tak, że idąc do Jerozolimy, przechodził Jezus przez Samarię i Galileję. A gdy miał wejść do jednego osiedla, zaszło mu drogę dziesięciu trędowatych, którzy stanęli opodal, i podnieśli głos, wołając: Jezusie, Mistrzu, zmiłuj się nad nami. A gdy ich zobaczył, rzekł: Idźcie pokażcie się kapłanom. I stało się, iż w drodze odzyskali zdrowie. A jeden z nich widząc, że uzdrowiony, wrócił się z drogi, wystawiając głośno Boga, i rzucił mu się do stóp, aby mu podziękować. A był to Samarytanin. Jezus zaś tak się ozwał: Czyż nie dziesięciu zostało uzdrowionych; A dziewięciu gdzie jest? Nie znalazł się żaden, któryby się wrócił i dał chwałę Bogu prócz tego cudzoziemca? I rzekł mu: Wstań i idź, wiara twoja uzdrowiła ciebie. (Luk. 17, 11–19).

**O** POWIEŚĆ ta przenosi nas w daleki kraj i w odległe czasy, ukazując obraz pełen ponurej grozy: dziesięciu trędowatych. Trań był i jest po dzień dzisiejszy najstraszniejszą zapewne plagą Wschodu. Nikt z nas nie zdaje sobie sprawy, jakie uczucia budziło to straszne słowo: trań. I my wprawdzie znamy cierpienia nieuleczalne. Ale my mamy wiedzę lekarską i z każdym cierpieniem walczymy. A póki się walczy, póty jest nadzieja, a nadzieja czyni cuda nawet u ludzi złożonych ciężką niemocą. I miłość czyni cuda. Ileż cierpień osładza, ile łez koi, ile bólu znieczula umiejętna opieka, zapobiegliwość lekarza, ręka dobroczynnej siostry, miłość rodziny. Wówczas jak gdyby jarzmo stawało się lekkim, a brzemień słodkim.

Chory na trań mieszkaniec Wschodu niczego podobnego nie zaznał nigdy. Tam dla nieuleczalnych nie było litości. Skazywano ich na bezwzględną izolację. Gdy kapłan – lekarz orzekł, że są dotknięci wstrętną, zaraźliwą chorobą, musieli opuścić dom, rodzinę, osiedla ludzkie i zamieszkać wspólnie z innymi równie nieszczęśliwymi z dala od ludzi, w prymitywnych pomieszczeniach, gdzie długie miesiące, a nieraz lata oczekiwania musieli kończyć.

Kolonie trędowatych były pewnego rodzaju grobami dla ludzi jeszcze żyjących.

Musieli zapomnieć, że mieli żony, dzieci i krewnych. Jedyna tęsknota, jaką im wolno było żywić, to tęsknota do śmierci. Łatwo to się mówi. Ale wyobraźmy sobie, co to znaczy. Najdosadniej może charakteryzuje beznadziejność losu tych skazańców fakt, że przestrzegane na Wschodzie z taką skrupulatnością różnice wyznaniowe i plemienne w osiedlach trędowatych traciły wszelkie znaczenie. Tu Żydom wolno było

obcować z Samarytanami. Zdrowi unikali się wzajemnie jak zarazy. Ale prawdziwa zaraza kładka kres tym uprzedzeniem. Cierpienie, nieszczęście, ból i smutek zawsze były i zawsze będą wielkim niwelatorem. kruszącym najgroźniejsze zapory, zasypującym najgłębsze rowy. Tak życie drwi sobie z naszych tradycji i przesądów.

Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie wśród tych skazańców sprawiła wieść, że niedaleko jest cudotwórca, który dotknięciem ręki, a nawet niekiedy tylko słowem, najuporczywsze choroby zwycięża. Tonący brzytwy się chwytą. Błądziliśmy mniemając że którykolwiek z nich wiedział, kim naprawdę był ten cudotwórca. Wszak nawet najbliżsi nie znali jeszcze wówczas tajemnicy Syna Człowieczego. Zresztą pacjent, któremu ogłoszono wyrok śmierci, nie pyta o legitymację jedyne go lekarza, który zjawił się na jego widnokręgu. Widok jego może najsłabszą iskierkę rozpalic tak, że zaplonie jak wielki ogień. „Jezusie, Nauczycielu! Zmiłuj się nad nami”. Następuje chwila oczekiwania w największym napięciu i odpowiedź Jezusa: „Idźcie, ukażcie się kapłanom. I stało się, gdy szli, że zostali oczyszczeni”.

Kapłani wówczas pełnili uniwersalne obowiązki: duchownych, sędziów i lekarzy. Rozdawali też świadectwa zdrowia i rozpoznawali choroby. Słowa Jezusa przełożone na nasz język brzmiały: „Jesteście zdrowi. Że słowa Jezusa wzięli za dokument Ciała dziesięciu mężów jeszcze pokrywał trań. Że zaś ani jeden z nich się nie zdziwił, że słowa Jezusa wzięli za dokument zdrowia, to chlubnie świadczy o ich wierze. I była to zaprawdę cudowna chwila, gdy wiarę ich uwieńczył zupełny triumf.

**T**rań jest straszną i nieuleczalną chorobą. Nie tylko w czasach Jezusa człowiek zakażony trędem promieniował śmiercią, ale i w naszych czasach medycyna ciągle jest bezradna wobec tej groźnej choroby i nie znalazła nań lekarstwa. Ewangelista bardzo plastycznie maluje scenę uzdrowienia przez Chrystusa dziesięciu trędowatych.

Kiedy w drodze do Jerozolimy Jezus przechodził przez jakieś małe osiedle, zastąpiło Mu drogę dziesięciu zakażonych trędem.

Może resztkami sił – stanawszy opodal – wołali: „Jezusie, Mistrzu, zmiłuj się nad nami”. Wiedzieli oni, że wszelkie środki na nic się nie zdadzą w ich życiowym dramacie. Została im wiara w nadprzyrodzoną moc Jezusa, o którym głośno już było w Galilei i Samarii.

Jezus widząc ich wiarę, nie pozostawił ich własnemu losowi.

„Idźcie, pokażcie się kapłanom” – powiedział do nich. A oni w drodze się spostrzegli, że byli uzdrowieni.

Ewangelista mówi dalej, że jeden z nich zaledwie wrócił i upadłszy do kolan Jezusowi, dziękował za przywrócone zdrowie, chwalać Boga.

Był to Samarytanin.

„Czyż nie dziesięciu zostało uzdrowionych, a dziewięciu gdzie jest?” – odezwał się Jezus.

„Trudno nie dostrzec w słowach Jezusa nuty wyrzutu i rozczarowania...”

Uzdrowieni nie zdobyli się na najmniejszą wdzięczność wobec Tego, który przywrócił ich do normalnego życia. Wrócili do domów swoich, do swoich rodzin, aby powitać najbliższych, aby się cieszyć życiem i zdrowiem. Zapomnieli szybko o przeżytym

dramacie, o tym, że byli skazani na śmierć niechybną. Zapomnieli o Najlepszym Lekarzu, Chrystusie, który mocą nie z tego świata ich do życia przywrócił. Okazali się niewdzięcznikami.

A my, ludzie XX w., my, urodzeni chrześcijanie, czy nie jesteśmy czasem podobni do tych 9-ciu mężów, o których mówi dzisiejsza Ewangelia?

W naszym klimacie trań nam nie grozi. Gdy jednak cierpienie zapuka do drzwi naszych, zbурzy nam radość i spokój, gdy wszystkie ludzkie protekcje i środki okażą się zawodne, wtenczas jak ci trendowaci przed uzdrowieniem wołamy wielkim głosem: „Jezusie, zmiłuj się nad nami” i wzywamy Jego pomocy.

Czasem przyrzekamy solennie zmienić nasze życie, czynimy różne śluby i obietnice.

Gdy jednak cierpienie minie, nieszczęście się oddali i spokój wróci do domu a życie do normalnego trybu, zapominamy często o naszych zobowiązaniach i przyrzeczeniach. Zapominamy o Bogu, który próśb naszych wysłuchał.

Wielu ludziom wierzącym się wydaje, że im się wszystko od Boga należy: życie, zdrowie, uroda, inteligencja, zdolności, a nawet bogactwo. Obca im jest wdzięczność dla Stwórcy za wszystkie dary, którymi ich Bóg wyposażył. Modlitwa ich jest ustawiczną modlitwą próśby, a nigdy modlitwą wdzięczności.

Ci chrześcijanie mają także podobny stosunek do swoich bliźnich. Wszystko im się od ludzi należy: honor, sława, uznanie i pomoc w różnej postaci. Jakiegokolwiek uczucie wdzięczności w stosunku do bliźnich jest im obce. Oni urodzili się, by brać, a nic z siebie nie dawać.

Jesteśmy często rozczarowani i rozgoryczeni w stosunku do bliźnich naszych, którym okazaliśmy wiele serca, wiele ludzkiej życzliwości i oddania otrzymując w zamian chłód i obojętność.

Miło było Jezusowi, po ludzku rzecz biorąc, oglądać u swych stóp Samarytanina, który przyszedł, aby Mu wdzięczność wyrazić i Boga chwalił.

Uczucie wdzięczności jest pięknym uczuciem, godnym człowieka i chrześcijanina.

Wyznawcy Chrystusa winni się uzyć dla Stwórcy wdzięczności, do której mamy wiele powodów: za życie i zdrowie, za młodość i siłę, za wiek dojrzały i starość spokojną. Mamy być wdzięczni za chleb powszedni, zapracowany ucziwie, za ziemię ojczyzną, za wolność narodu, za błękit nieba, za kłosy pszeniczne i zieleń łąk i lasów.

Uczmy się wdzięczności także wobec bliźnich naszych nie tylko za pomoc w chorobie, w nieszczęściu, za kromkę chleba podaną, gdy byliśmy głodni, za odwiedzin w więzieniu, a nawet za dobre słowo i uśmiech przyjazny.

Każde uczucie dobre nie ginie w przestworzu, lecz wraca do nas ze zdwojoną siłą.

Bądźmy wdzięczni Bogu za okazane łaski, a ludziom za każdy odruch dobrego serca.

Ks. E. N.

NASZA OKŁADKA:

Niepokalane Serce NMP

# T R Ę D O W A T Y C H

Niewdzięczność zdaje się przeczyć wierze, że miłość rodzi miłość. Jakże często wydaje się, że miłość rodzi nienawiść.

Gdyby każdy widział, jak z miłości wyrasta miłość, jak słońce topi lody, a żar płomienia topi żelazo, nie patrzyłoby by wierzyć w miłość, wystarczałoby na nią patrzeć, podziwiać i uwielbiać. Tylko że ci, co by ją bez trudu widzieli, nie mogliby jej uwielbiać, jak jej dotychczas nie uwielbiają. Chodzi tu właśnie (jak tylokrotnie w życiu) o akt wiary, która wierzy, chociaż nie widzi, i która każe miłować, chociaż nienawiść miłości nie przyjmuje.

Kto ma pojęcie o chemii, ten wie, jaką rolę w niej grają odczynniki. Mieszając różne płyny, drogą reakcji z niezawodną pewnością stwierdzamy obecność takich czy innych pierwiastków. Otóż zdaje się, że tym odczynnikiem, który ma stwierdzić istnienie nieobłudnej miłości, jest właśnie nienawiść.

Miłować bez zastrzeżeń, niczym się nie zrażać, być wiernym apostołem miłości bez względu na to, jakie echo tu na ziemi jej odpowiada, to znaczy wykazać się jako dziecię Boże.

„Jeden zaś z nich ujrawszy, że został uzdrowiony, wrócił się wielkim głosem chwalać Boga i padł na oblicze swoje u nóg Jego, dziękując Mu; a był to Samarytanin. A Jezus odpowiadając, rzekł: czyż nie dzieś się zostało oczyszczonych, dzieś się gdzie? Czy żaden się nie znalazł, który by wrócił i dał chwałę Bogu tylko ten cudzoziemiec? I rzekł mu: „Wstań, idź, wiara twoja uzdrowiła cię”.

Po historii niedoli i historii wiary, która zrodziła się z bólu i męki, następuje historia niewdzięczności ludzkiej. To smutne zakończenie sprawia, że opowieść, która przynosi nas w odległe kraje i w zamierzchnią przeszłość, jest opowieścią bardzo współczesną, bardzo ludzką i prawdziwą, może przypomni chwile i przeżycia pozor- nie odmienne, a tak podobne.

Kto by się podjął napisania studium o niewdzięczności ludzkiej, miałby temat bardzo interesujący, ale bardzo smutny. Zagadnienie niewdzięczności jest jednym z najciekawszych psychologicznie zagadnień. Wszyscy zasadniczo na niewdzięczność narzekamy i wszyscy jednakowo mamy sumienia nią obciążone. Ale każdy widzi żdźbło w oku brata, a nikt nie dostrzega belki we własnym.

Najsmutniejsze bodaj jest to, że mamy do czynienia ze szczególnym zjawiskiem, iż pamięć dobrodziejstwa budzi uczucia wręcz przeciwnie tym, jakich jedynie można było się spodziewać. Albo będziemy oddawać chwałę Bogu i okazywać wdzięczność ludziom, albo będziemy przy wielkim apelu żywych i umarłych pominięci, jak Pan ronił dziewięciu nieobecnych, gdy wyróżnił jednego wdzięcznego.

Szczególnego posmaku nabiera nasza opowieść, gdy zważymy, co znaczą te słowa: „A był to Samarytanin. Czyż żaden się nie znalazł, który by wrócił i dał chwałę Bogu, tylko ten cudzoziemiec?” O analogię w naszych stosunkach nie trudno. Tylko że przepaść dzieląca ówczesnych Żydów i Samarytan była głębsza i szersza niż przepaść dzieląca dziś na przykład chrześcijan i Żydów. Podobieństwo atoli polega na tym, że Żydzi w imię religii swojej tamtych pogardzali jako rzekomymi wrogami ludu Bożego i samego Boga. Utożsamienie ludu Bożego z Bogiem też nie jest wynalazkiem nowoczesnym. Odwracając się od Samarytan z moralnym wstrętem, manifestowali swoją nabożność i prawowierność. Jeżeli kto nie dostrzega ironii w słowach Ewangelii, która kilkakrotnie podkreśla, że ci pół poganie, żyjący poza nawiasem prawowiernego społeczeństwa, nie wpuszczani pod grozą śmierci do świątyni, nie praktykujący jedynie zbawczych wówczas obrzędów, nie wyznający jedynej wtedy prawdziwej religii, mieli niekiedy więcej serca od tamtych, że w ogóle sprawa serca nie ma nic wspólnego z tym, co ludzie tu na ziemi niekiedy zrobili z religią, że Bóg zastrzega sobie ostateczną decyzję o tym, co kto jest wart, jakie mu wyznaczone będzie miejsce tu w doczesności i tam w wieczności, to na tego już nie ma rady.

Trudno czytać takie słowa bez głębszej zadumy: Czyż żaden się nie znalazł, kto by wrócił i dał chwałę Bogu, tylko ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań, idź, wiara twoja uzdrowiła cię”. Może komu cokolwiek przypomni się z jego własnego życia — może cudowna opieka w ciężkiej chwili, może prośba wysłuchana, którą zanosił ślubując: „Jeżeli mnie, Panie, tym razem wysłuchasz, nigdy tego nie zapomnę!”, jeżeli pod wpływem takich wspomnień głowa się pochyla nisko, bardzo nisko i fala gorąca wstępu w sercu wzbierze, i ręce złożą się do cichej modlitwy, to bodaj, że cel tej ewangelii będzie na razie osiągnięty.

Wiedeńskie spotkanie prezydenta USA z premierem ZSRR, odbyte w pierwszych dniach czerwca rb. uznane zostało za „pożyteczne”. Obaj mężowie stanu w drodze bezpośrednich rozmów wymienili poglądy na węzłowe problemy polityki zagranicznej. Były to zagadnienia dotyczące pokoju, rozbrojenia, ograniczenia zbrojeń, zakazu doświadczeń z bronią nuklearną, wreszcie problem niemiecki i Berlina zachodniego.

W 45 dni po spotkaniu w Wiedniu prezydent Kennedy ujawnił stosunek Stanów Zjednoczonych do zagadnień omawianych z premierem Chruszczowem, a w końcu lipca, w przemówieniu radiowym do narodu amerykańskiego, zapowiedział zwiększenie wydatków na zbrojenia. Tę gorzką pigułkę, noszącą fabrykantom broni nowe, krociowe zyski, a dla szarego człowieka podwyższenie podatków pośrednich i bezpośrednich — Kennedy osłodził stwierdzeniem, że uznaje „historyczne obawy Związku Radzieckiego o swe bezpieczeństwo w Europie środkowej i wschodniej, obawy usprawiedliwione szeregiem pustoszących najazdów”.

W tym miejscu Kennedy, wstępując na pozycje zimnowojenne, jednocześnie otworzył jakby drzwi dla ewentualnych rozmów amerykańsko-radzieckich na temat kontrowersyjnych problemów.

Powstaje pytanie — co skłoniło Kennedy'ego do wygłoszenia tak krańcowego w ujęciu i niepokojącego w formie przemówienia.

Rzecz cała w tym, że ostatnio w bloku anglosaskim zarysowały się niepokojące różnice zdań, u podstaw których zaciążyło zagadnienie celowości dalszych świadczeń na rzecz zbrojeń.

W tym stanie rzeczy zrozumiała jest niechęć ze strony sojuszników amerykańskich do ciągłego wzrostu wydatków na zbrojenia. Szczególnie dotkliwie odczuwa to organizm gospodarczy W. Brytanii. Anglicy zmuszeni zostali do wprowadzenia ostatnio bardzo drastycznych posunięć dla ratowania zachwianego funta. Konieczność utrzymania zbrojeń na dotychczasowym poziomie zmusiła konserwatywny rząd brytyjski do dalszego obciążenia kredytów na oświatę publiczną i wprowadzenia szeregu drakońskich zarządzeń w dziedzinie polityki socjalnej. I tutaj tkwi źródło tendencji angielskich do uniezależnienia się od USA.

Pierwsze echa mowy Kennedy'ego jednolicie oceniali jego przemówienie jako „zagrożenie” dla światowego pokoju. Mimo to jednak prasa światowa (poza prasą zachodnio-niemiecką) zajmuje się z powrotem zagadnieniem możliwości porozumienia, sygnalizowanym nieprecyzyjnie przez prezydenta USA.

Co grozi Zachodowi ze strony ZSRR? Oczywiście nic. Nie można przecież uznać za casus belli (jakby chciał tego Adenauer) podpisanie traktatu pokojowego z NRD przez ZSRR i kraje demokracji ludowej. Chruszczow przecież wyraźnie podkreślił, że „nie zamierza pozbawiać Berlina zachodniego ani łączności z całym światem, ani też wpływać na ustrój tego miasta, ani podważać prestiżu Zachodu”.

W tej sytuacji, podkreślają zachodni publicyści, prestiżowi temu i opinii USA alarmy wojenne mogą wybitnie zaszkodzić. Znamienne jest, że prasa zachodnia usiłuje złagodzić wrażenie przemówienia prezydenta USA i tonując jego ostrość niedwuznacznie podkreśla, iż rozmowy ze Wschodem mają zupełnie realne szanse. Jasne jest, że do opinii publicznej łatwiej jest trafić argumentem pertraktacji niż zapowiedzią wojny o... Berlin.

Moment „wojny o Berlin” rozważany w parcie zachodniej, zwłaszcza angielskiej, jest niezmiernie niepopularny. Anglicy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że wojna o Berlin to jest „wodą na młyn” rewizjonistycznych i odwetowych Niemiec.

Ś. † P.

## JÓZEF WARDAS

dyrektor Wydawnictwa Literatury Religijnej, wieloletni członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

zmarł dn. 2 sierpnia br. przeżywszy lat 48.

Pogrzeb odbył się dn. 5 sierpnia br. z udziałem kapłanów Kościoła Polskokatolickiego na cmentarzu powązkowskim.

Niech odpoczywa w pokoju.



## CZY SĄ SZCZĘŚLIWI?

**K**AŻDY zapewne chciałby osiągnąć szczęście i radość w życiu, cieszyć się spełnionymi marzeniami i nie znać goryczy i smutku. Lecz szczęście i radość zazwyczaj krótko goszczą między nami, rozplywają się w codziennych kłopotach i troskach. Zdawałoby się, że jest to prawo naturalne, którego rozum ludzki nie jest w stanie odwrócić. A jednak szczęście i radość w niemalym stopniu zależą od naszej woli. Tylko, że wolna wola człowieka nie zawsze obiera właściwy kierunek. Często płacze się i gubi w labiryncie konfliktów z własnym sumieniem, pozabawiona busoli, która wskazywałaby drogę uczciwego życia. Pokusa beztróski, chęć utopienia kłopotów w wódce, zagłuszenia oszałamiającym rytmem jazzu, stawiają jako cel w życiu: używanie świata, poki służą lata. Używanie bez ograniczeń i bez skręplów z pominięciem interesów i dobra najbliższego otoczenia i własnej rodziny. Czy tacy ludzie są naprawdę szczęśliwi? Wolę żeby fakty podane na gorąco zastąpiły te rozważania.

Władysława P. mieszka w Trzcinie Lubuskiej, mieście powiatowym tonącym teraz z bujnej, wiosennej zieleni. A wiosenna radość nie zawitała do jej

serca. Mąż miał kochankę, nie dbał o sześcioro swych dzieci, w końcu po pijanemu uderzył milicjanta i teraz pokutuje w więzieniu.

— Nie bądź frajerka — radziły koleżanki, nie zawiązuj sobie życia; jesteś dość młoda, niebrzydka, dbaj tylko o urodę, a świat się do ciebie uśmiechnie.

No i pewnie — przekonywała sama siebie — czy nie mam prawa do szczęścia i radości; on bawił się cały czas, ja musiałam ręce urabiać przy dzieciach. Teraz będzie inaczej.

Władysława przestała się troszczyć o dzieci, dawała im zaledwie gorzką kawę z chlebem; chodziły one zawszone i brudne. Starszy chłopak zaczynał podkraść pieniądze w przedszkolu. Sama najczęściej przesiadywała u koleżanek; studiowała pilnie urodę i razem z nimi wypuszczała się na zabawy. Zobojętniała na los własnych dzieci do tego stopnia, że pieniądze, które otrzymała jako zapomogę od rady narodowej, wydała bez namysłu na ondulację. Wspomina o tym z uczuciem wstydu i zażenowania, nie ma odwagi spojrzeć w oczy ludziom, którzy chcą jej dopomóc. Są to jednak tylko odruchy pozornej samoobrony. W istocie gotowa jest wszystko poświęcić, nawet miłość macierzyńską

i czucie rozumnej wspólnoty dla swego egoistycznego szczęścia przy restauracyjnym stoliku.

Egoizm jednostki jest tak samo niebezpieczny moralnie jak i egoizm rodzinny.

„Przecież uważam, że nie jestem mordercą ani wyrodkiem — pisze w liście do żony więzień Władysław M. — chcę więc odbyć karę i wrócić na wolność do domu i do rodziny“... Żona odpisuje mężowi w tonie serdecznej pobłażliwości i głębokiego współczucia. Dobrze pamięta, jak kilka lat temu snuli plany o szczęściu i radości w rodzinie, marzyli, jak gładko potoczy się im życie wśród dostatku, a nawet przepychu. Na to pensyjka męża nie wystarczyła, egoizm rodzinny żądał na zaspokojenie wygórowanych ambicji dziesiątków tysięcy złotych.

Władysław M. zaczął dokonywać włamań do sklepów, żona przechowywała towar i organizowała sprzedaż „na lewo“. Niewiele ich obchodziły reguły społecznego współżycia i Boskie przykazania, mieli przecież przed sobą jedyny cel: żyć rozrzutnie, z gestem, po pańsku. Sielanka trwała krótko. Po chwilach przesyty nadszedł czas smutku, cierpienia i rodzinnej niedoli. Na długie lata żona pozostała bez męża, a pięcioro dzieci bez ojca.

Żyją wśród nas ludzie, którzy mniemają iż osiągnięcie szczęścia i radości uczciwą, szlachetną pracą jest tylko pustym frazesem obiecującym na naiwność ludzką. Rozumują oni mniej więcej w taki oto sposób: żeby osiągnąć szczęście, trzeba mieć dużo pieniędzy i nie doznać kłopotów materialnych. Innej drogi do szczęścia nie ma i być nie może — twierdzą nieprzejednanie. Dla nich nie istnieją wartości moralne. Wzrok ich nie sięga poza własną kieszeń i właśnie egoistyczna krótkowzroczność prowadzi tych ludzi na manowce antyspołecznej działalności, rujnuje ich ogniska rodzinne, wtrącając do więzień, rzuca w wir szalowych „ubawów“. Jak trudno potem dźwigać na sobie ciężar grzechu i odpowiedzialności moralnej, ile leż i zgryzoty trzeba znieść w następstwie niemoralnych czynów, aby w końcu dojść do jedynie słusznego i rozsądnego przekonania, że nasze szczęście i radość spoczywają nie w egoistycznych zachciankach, lecz znacznie głębiej — w duszy człowieka, w rzetelnej, sumiennej pracy i tworzeniu nowych wartości ogólnospołecznych.

M. NARTOWSKI



— Ale przecież jest ratunek. Dostał Pietrek zaraz zastrzyk — będzie chłopczyk zdrow niedługo.

— ktem, gładzi rozpalone rączki...

Pietrka siedzi. Obsłuchuje, pilnie bada. Potem kwarczy z Pietr-Przyjechało pogotowie. Pani doktor w białym kitlu u postania — Jada, jada, dzięk! Bogu!

Biegnie mama znów do domu. Słot w prosu, słucha, czeka. W którejś chwili gdzieś z daleka słychać warkot samochodu.

— Przyjeżdżamy!

Biegnie mama znów do domu. Słot w prosu, słucha, czeka. W którejś chwili gdzieś z daleka słychać warkot samochodu.

— Przyjeżdżamy!

— Mały Pietrek zachorował! Przyjeżdżcie zaraz z miasta? Przy- słowa:

Wioski. Jest tam poczta. Jest telefon. Leca w świat po drucie Biegnie szybko mama Pietrka w ciemny wiecór na skraj Ach, jest przecież pogotowie!

Gdzie tu pobiec po ratunek? Niech kto powie...

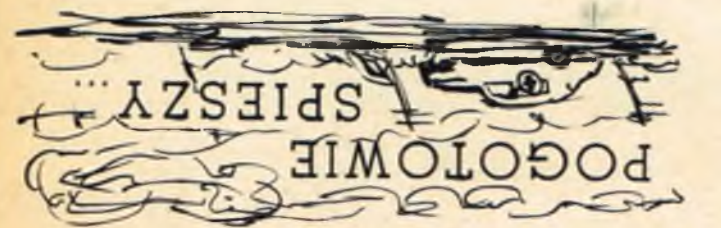
Tylko potok, ten w dolinie, po kamyczkach z szumem płynie... tylko puszczyczki gdzieś tam woła...

Mama na próg chaty idzie — co tu pociąć w takiej biedzie? Ciemna nocka już dokoła, wszędzie cicho, — Boili... Matus... Bardzo boli...

Płacze Pietrek

Szczupie Pietrkowe rączki, rozpalone od gorączki.

Alcy Pietrek zachorował. Boli gardło, boli głowa.



nia paliwa. A w ciągu jednej doby zużywa zaledwie 45 gramów uranu.

Obecnie lodolamacz „Lenin“ odbywa swoje normalne rejsy po wodach Arktyki i toruje drogę statkom. Przy swojej sile może pływać swobodnie nawet wśród lodów o grubości 2 i pół metra. Największa szybkość, jaką rozwija, wynosi 18 węłów, czyli przeszło 33 kilometry na godzinę.



— Widzisz więc Karolu, że historia jest naprawdę przykra — musiał spędzić wakacje w łóżku.

— Tak... — pokiwiał głową pan Karol — dla takiego żywego i ruchliwego chłopca jak Janek perspektywa leżenia w łóżku przez parę tygodni jest rzeczywiście niewesoła. Powiedz mi Heleno, jaka on miał w tym roku cenzurę?

— Widzisz, mój drogi, tu zaczyna się właśnie całe zmartwienie. Cenzura wypada doskonała, Janek uczył się cały rok bardzo pilnie i w nagrodę ojciec miał go zabrać na całomiesięczną wycieczkę samochodem. W projekcie była wioćzega po całej Polsce. Tymczasem Janek rozbił kolano i nogę ma w gipsie, a ca-

— Ciesz się, że przyjechałeś, i że mogę ci powierzyć swoje zmartwienie. Może ty potrafisz jakoś pocieszyć i rozruszać Jan-ka. Biedny chłopiec, nie może się pogodzić z myślą, że będzie musiał spędzić wakacje w łóżku.

— Tak... — pokiwiał głową pan Karol — dla takiego żywego i ruchliwego chłopca jak Janek perspektywa leżenia w łóżku przez parę tygodni jest rzeczywiście niewesoła. Powiedz mi Heleno, jaka on miał w tym roku cenzurę?

— Widzisz, mój drogi, tu zaczyna się właśnie całe zmartwienie. Cenzura wypada doskonała, Janek uczył się cały rok bardzo pilnie i w nagrodę ojciec miał go zabrać na całomiesięczną wycieczkę samochodem. W projekcie była wioćzega po całej Polsce. Tymczasem Janek rozbił kolano i nogę ma w gipsie, a ca-

## OPWIADANIE WAKACYJNE

— „I będziecie mi świadkami w Jeruzalem, i w całej Judei, i Samarii, aż po krańce ziemi“ (Dz. Ap. 1,8).

Pan Jezus wiedział, że Jego Kościół operać się będzie na ludziach. Ludzie zaś są śmiertelnymi i nie żyją wiecznie na ziemi. Dlatego więc ustanowił swoich następców? — Bo wie- dział, że sam jako Człowiek na ziemi wiecznie żyć i działać nie będzie. Ale wiedział też Pan Jezus, że i Jego uczniowie nie będą żyli wiecznie. Jak więc mogli spełnić nakaz „Nau- czajcie wszystkie narody“... „Głosie Ewangelie wszyskciem stworzeniu“, „I będziecie mi świadkami... aż po krańce zie- mi“?

— Musiał więc Pan Jezus nakazać Śwym następcom — Apos- tołom, aby i oni wybierali sobie następców, a ich następcy znów innych i tak ma się dziać „po wszystkie dni aż do skonczenia świata“.

Ks. E. K.

ła wyprawa, na którą tak się cieszył, spełzła na niczym.

Pan Karol zamyślił się. Po chwili uśmiechnął się do siostry.

— No moja droga, nie martw się. Postaram się rozerwać go jakoś. Przyjechałem do Warszawy na cały miesiąc. Przywioz-łem wiele materiałów ze swoich podróży po świecie. Mam tu sporo spraw do załatwienia, ale zajmę się także Jankiem.

Pani Letyńska uśmiechnęła się z wdzięcznością do brata.

— Chodźmy teraz do niego — rzekła ujmując go pod ramię.

Na odgłos otwieranych drzwi Janek spojrział na wchodzących.

— O, jaka niespodzianka! Wuj Karol!

Pan Karol wyciągnął rękę do chłopca.

— No, Janku! gratuluję wspaniałej cenzury! Zuch z ciebie. Janek westchnął z rezygnacją.

— Tak, ale wakacje przypadły.

— Ee, nie przesadzaj mój drogi. Jeszcze przed tobą wiele wspaniałych wakacji. Zapewniam cię, że leżąc w łóżku można nie wiedzieć co to nuda.

Janek popatrzył chmurnie i niedowierzająco.

— A coż można robić w takiej sytuacji? — spytał.

— Można podróżować. Tak, zapewniam cię, że można i to bardzo wygodnie i bardzo daleko.

— Nie rozumiem wujku, w jaki sposób — mruszał Janek trochę urażony sądząc, że wuj pokpiwa sobie z niego. Twarz wuja jednak była całkiem poważna.

— Sposób jest bardzo prosty — ciągnął dalej wuj.

— Ot, choćby przy pomocy dywanika leżącego przed twoim łóżkiem. Pojazd to znaczny, nie robi hałasu, nie wymaga paliwa, wszędzie dociera i jest bezpieczny.

— Ee... — mruzczał Janek — to bajeczki dla małych dzieci o latającym dywaniku.

Wuj Karol przysiadł na brzegu łóżka.

— Oczywiście, wiem szanowny piętnastolatku, że z osobami tak zaawansowanymi wiekiem jak ty, należy rozprawić dostojnie i z powagą, ale wiesz co, choć jestem od ciebie dużo starszy, wybiorę się z tobą w podróż na tym właśnie dywaniku i wcale nie będę poczytywał sobie tego za dyshonor.



„PAKT CZTERECH”

**P**owstała na ruinach trzech mocarstw: Rosji, Niemiec i Austro-węgier — Polska nie miała sprzymierzeńca w Watykanie. Trzeba nawet z całą sumiennością stwierdzić, że Kuria Rzymska była dla powstającej Polski nader nieprzychylna. Zarówno Sekretariat Stanu, jak i wszystkie inne dyskanterie były pod przemożnym

właśnie Francesco Maria Taliani na str. 148 powiada, że kardynał uważał, iż „w Wersalu ludzie z oczami pełnymi krwi nie byli zdolni do sprawiedliwości i miłosierdzia”... Chodziło tu o to, że „pokrzywdzono Niemców”... i dalej tak pisze: „Podpisany pokój, pokój wymuszony i niesprawiedliwy, nie zdawał mu się być (tj. kardynałowi Gasparriemu) prawdziwym pokojem. Mówił, że Europa mogła taki pokój zdobyć, zwracając się do Boga... Kościół zaoferował swoje usługi”... Zaś na str. 173 i 174 czytamy dokumentnie: „Stolica Święta nie była zaproszona do Wersalu... Gasparri orientował się, dlaczego się tak stało i twierdził, że nie będzie pokoju, jeżeli będzie on bazowany na niesprawiedliwości i na krzywdzie. Traktaty pokojowe pełne sprzeczności, winne, że dokonały okaleczeń zwyciężonych bez patrzenia na przyszłość, nie zawierają zarodków chrześcijańskiego pogodzenia, lecz przeciwnie, jeszcze większe konflikty.... Stąd też jego pragnieniem było (kardynała Gasparriego), aby przywrócić Europie prawdziwą harmonię w braterskim zrozumieniu obowiązków i potrzeb, burząc u podstaw wszystkie nowe przyczyny nieprzyjaźni, przygotowując po cichu atmosferę dla rewizji klauzul traktatu wersalskiego, albowiem uważał, że są one nieuniknione”.

Z tej książki widzimy jasno, że kardynał Gasparri dopomógł znacznie Niemcom, przygotowując po cichu atmosferę do rewizji klauzul traktatu wersalskiego.

Kiedy po Kardynale Gasparri politykę zagraniczną Watykanu prowadził kardynał Pacelli wiemy, że został dokonany sojusz swastyki z Krzyżem, a kiedy von Papen

czterech wyszła z Sekretariatu Stanu, ale Mussolini był upoważniony do ojcostwa tej politycznej kombinacji. Celem tego paktu było stworzenie dyrektoriatu tych czterech państw do rządzenia Europą poza Ligą Narodów....

W okresie pobytu ministrów angielskich w Rzymie i w Watykanie biskup Dub-Dubowski w czasie jednej z rozmów, jakie miał z Piusem XI dowiedział się, iż w montowaniu „paktu czterech” Watykan bierze udział cichego orędownika, a Polska miałaby zapłacić Niemcom za tę przynależność do paktu „rewizją granic”.

Kardynał Pacelli jak również Pius XI zapewniali ambasadora Skrzyńskiego, że nie było mowy o rewizji granic polskich, ale ani ambasador, ani jego radca Janiszowski nie wierzyli tym zapewnieniom. Monsignor Pizzardo, zastępca kardynała Pacelliego puścił farbę i powiedział, że padło słowo „rewizja”. My skądinąd, bo od hr. Ciano wiedzieliśmy, że podpisany 15 lipca w Rzymie „pakt czterech” był dla Polski szkodliwy.

Trzeba było dopiero zabiegów w Paryżu i gdzieindziej, aby nie dopuścić do ratyfikowania „paktu czterech” przez parlament francuski i unieszkodliwić akcję skierowaną przeciwko Polsce przez tych, którzy chcieli mieć silne Niemcy dla wojny krzyżowej z Rosją...

Muszę dać prawdzie wyraz i oświadczyć, że niemalą zasługę w tej sprawie należy przypisać biskupowi Dub-Dubowskiemu, któremu udało się poniekąd storpedować „pakt czterech”: ujawniając rządowi tajemnicę i kulisy całej akcji... Usunięcie z „Pro Russia” Mons D’Herbignego i „pakt czterech” — to chyba wyłączną pracą tego biskupa, który uważał, że nie jest civis romanus, lecz jedynie civis Polonus.... Byli i tacy....

## RZYMSKIE WSPOMNIENIA XIV

J. CZERWIŃSKI

wpływem Niemców. Benedykt XV sprzął Wiedniowi i Berlinowi. Wysłany przez niego do Warszawy w charakterze internuncjusza przy Radzie Regencyjnej monsignor Achilles Ratti podróż swoją do stolicy Polski odbył najpierw via Wiedeń, a później przez Berlin, aby w stolicach tych dwóch zaborców dostać wiatyk dla Polaków. Zresztą do tej misji był przygotowany przez niemieckiego jezuitę O. Ehrle, który zapewne nie uczył go miłości do Polaków.

Gdy po śmierci Benedykta XV na tronie papieskim zasiadł właśnie pierwszy internuncjusz w Warszawie, a następnie nuncjusz, nic się nie zmieniło nad Tybrem w stosunku do Rzeczypospolitej, mimo że pewne czynniki głosiły, iż mamy szczęście, bo na tronie Piotrowym zasiada „polski papież”. Tymczasem temu „polskiemu papieżowi” nawet kuchnię prowadzili niemieccy zakonnicy. Kto tylko chciał oczerniał Polskę w Watykanie ku uciechu Berlina. Robili to Ukraińcy z Szeptyckim na czele, Litwini z biskupem Matulewiczem i Marianami, Niemcy ze Spletem Korolem i biskupem O. Rurke, wreszcie monsignor Michel D’Herbigny z biskupem Czarneckim. Polski ambasador przy Watykanie niewiele mógł zrobić, tymbardziej że konkordat zawarty w 1925 roku trzymał w ryzach rząd polski, ale Watykan mógł łamać jego postanowienia bez żadnych przeszkód.

Na stanowisku Sekretarza Stanu był ten sam, co za Benedykta XV, kardynał Piotr Gasparri, który nie krępował się absolutnie tym, że kocha Niemców, a nie ma najmniejszej sympatii dla Polaków. Kardynał Gasparri nie uznawał traktatu wersalskiego i wszystkie swoje wysiłki włożył w to, ażeby Niemcom dopomóc do rewizji tego dokumentu. Ażeby nie być gołosłownym, zacytujemy na tym miejscu słowa kuzyna tegoż purpurata Francesco Maria Taliani, który napisał o nim książkę pt. „Vita del cardinale Gasparri — segretario di Stato e povero prete”. Wydał A. Mondadori — Milano 1938 r. (Życie kardynała Gasparriego, Sekretarza Stanu i biednego księdza). Ten

przybył do Rzymu, aby przygotować konkordat, był tak gorąco przyjęty przez kardynała Sekretarza Stanu i Piusa XI, że mógł niemal w ich obecności naszkicować projekt tego układu. Ze znowu nie przesadzamy w tej miłości Watykanu do Niemiec, zacytujemy słowa Franza von Papena, który na str. 331 Pamiętników tak w tej materii pisze: „Pacelli przyjął mnie bardzo serdecznie i szczegółowo dyskutowaliśmy o sytuacji, zanim zostałem przyjęty przez papieża Piusa XI. Jego Świątobliwość przyjął bardzo łaskawie moją żonę i mnie i oświadczył, że cieszy się z tego, że na czele Rządu Niemieckiego stoi teraz człowiek zdecydowanie wrogi dla komunizmu i rosyjskiego nihilizmu w jego wszystkich formach. Atmosfera była naprawdę tak serdeczna, że mogłem ustalić z detalami projekt układu z Watykanem z nadzwyczajną szybkością, wyjątkową wprost w tych sprawach w urzędach watykańskich i natychmiast powrócić do Berlina.... Watykan prosił o punkt widzenia episkopatu niemieckiego w tej materii i wyznaczył arcybiskupa Fryburga Dr Greobera, ażeby reprezentował jego interesy. Pracowałem z nim w pełnej harmonii. Hitler zaakceptował natychmiast moje propozycje podpisania układu z Watykanem”.

W takiej atmosferze zrodził się w Rzymie projekt osławionego „paktu czterech”, tj. Anglii, Francji, Niemiec i Włoch, kosztem Polski. Z projektem tego paktu wystąpił w marcu Mussolini, kiedy bawili tam ministrowie angielscy, tj. Ramsay, Mac Donald i Simon.

Było to tajemnicą poliszynela, że Mussolini miał swoje powiązania z Watykanem i to dwojakie: raz przez swego doradcę O. Venturi Tacchi, jezuitę, który nawet pisywał artykuły dla Benito dla „Popolo d’Italia”, a drugim był osobisty przyjaciel duce p. adwokat Franciszek Pacelli, rodzony brat kardynała Sekretarza Stanu.

Dobrze poinformowany Bronisław Janiszowski twierdził podówczas, że myśl paktu





# Od

tego czasu, kiedy cierpliwi benedyktyni ręcznie przepisywali dzieła pisarzy starożytnych, zmieniło się wiele na świecie.

Zmieniło się także wiele w sztuce drukarskiej od czasów Gutenberga.

Gdyby stary mistrz, wynalazca druku, przyjechał z Moguncji z wycieczką do Warszawy i wstąpił do RSW „Prasa”, Zakłady Włkłodrukowe na ul. Okopowej, nie wiem, czy by się łatwo dogadał z naczelnym dyrektorem **inż. A. Kluzkiem**, czy nawet kierownikiem zecerni, p. **J. Bozrmowskim**.

— Mistrzu, to już nie na tym etapie — powiedzieliby mu współcześni fachowcy.

Dzięki rozwojowi techniki drukarskiej jesteśmy zdolni odtworzyć najbardziej złożone znaki, obrazy, cienie i kolory.

Jesteśmy zdolni naszym myślom i uczuciom dać plastyczny wyraz, ufrwalić je i przekazać potomności.

Dzięki drukowanemu słowu wieść o polskim katolicyzmie może dotrzeć do najbardziej odległych osiedli i wsi.

Czytelniku.

Zanim „Rodzina” dotrze do Twoich rąk, ileż ludzi pracować musi i nie tylko ręką, lecz sercem do niej się przyłożyć.

Naczelnny redaktor, **ks. E. Narbutowicz** prosi do siebie swego zastępcę **ks. mgr T. Gorgola** lub sekretarza redakcji, który przychodzi z tęczką zebranych materiałów, aby ustalić treść poszczególnych numerów, a potem następuje adiustacja stylistyczna, poprawki i przekazanie numeru redaktorowi graficznemu **B. Einebergowi** i redaktorowi technicznemu **L. Wilczyńskiemu** do graficznego opracowania.

W ciągu kilku dni głowi się grafik, mierzy, oblicza, rysuje winiетки, a kiedy zegar wybije godzinę dziewiątą, stalowa „Warszawa” wyjeżdża z bramy przy ul. Wilczej 31, a w niej redaktor techniczny, który wiezie materiał do drukarni.

Tu następuje techniczna produkcja.

Podkreślone maszynopisy dzięki pracy mistrzów sztuki drukarskiej zamieniają się w pachnące farbą arkusze, które sfalcowane i obcięte, dzięki „Ruchowi” idą w świat.

A oto krótki film z powstawania „Rodziny”.

Fot. 1.

**Ks. Edward Narbutt-Narbutowicz** — redaktor naczelny „Rodziny” (z lewej) i jego zastępca — **ks. mgr Yadeusz Gorgol** omawiają treść numeru.

Fot. 2.

**Dyrektor WLR J. Wardas** robi ostatnie uwagi przed oddaniem numeru do opracowania graficzno-technicznego. Obok stoją **K. Rowińska** i **J. Chodak**.

Fot. 3.

**Redaktor techniczny Leszek Wilczyński** (z prawej) i **redaktor graficzny Bohdan Eineberg** omawiają układ graficzny numeru.

Fot. 4.

W drodze do drukarni. Przed gablotką „Rodziny” zatrzymują się przechodnie.

Fot. 5.

Jesteśmy w drukarni. Linotypistka przy pracy.



# JAK POWSTAJE

# Rodzina

Fot. 6.  
Łamanie „Rodziny” dobiega końca. Teraz tylko korekta i po odbiciu kolumny  
celofany przenosimy się z kolei na montaż.

Fot. 7.  
Te dwie miłe panie łączą tekst i ilustracje w całość, czyli — mówiąc językiem  
fachowym — odbywa się montaż „Rodziny”.

Fot. 8.  
Montażystki i redaktorzy wprowadzają ostatnie poprawki przed oddaniem numeru  
do trawienia.

Fot. 9.  
Drukujemy się...

Fot. 10.  
Kierownik maszyn płaskich z zadowoleniem stwierdza, że zakończył druk. Teraz  
tylko introligatornia i „Ruch” zabierze „Rodzinę” do kolportażu.

Fot. 11.  
Ten numer nam się udał, prawda!

Fot. 12.  
„grafik i techniczny głowią się nad następnym numerem.



# TAM GDZIE SOBIESKI POD DĘBEM SIADYWAŁ



Fot. W. Sianowski

**C**icho szemrzą liście starego dębu nad moją głową. Rozłożyste, wielkie konary zasłaniają przed ostatnimi gorącymi promieniami słońca, chowającego swą gorejącą czerwienią tarczę za lasem. Bezszelustnie krążą jaskółki... Stary dąb mówi historię...

Pod dębem tym, zmęczony łowami, siedział Jan III Rex Poloniae, stąd może i nazwa: Puszcza Mariańska, wszak żona ukochana — Marysienka. Tu ponoć zginął ostatni tur, zapelniający niegdyś odwieczne bory polskie... O, słychać ujadanie ogarów... trafiły na ślad... coraz głośniejsze i bardziej zajadle... o konary dębu odbija się zwycięski dźwięk rogu. Z pobliskiego kościółka, uderza sygnaturka...

Nie, to nie królewskie ogary, to zwykłe wiejskie kundły biegają rozszczękane za pędzącą „Warszawą”. Klakson, zgrzyt hamulców... to już inny wiek.

Obok mnie na ławeczce siada mieszkaniec Puszczy Mariańskiej, żywa kronika, były partyzant, a dziś organista miejscowego kościółka, pan Bolesław Kieresieński. Patrzę na głowę przyprószoną siwizną, na twarz pooraną brudami zmarszczek.

Trzymam plik papierów, zapisanych nazwiskami ludzi po których zostało tylko wspomnienie. Zginęli zamordowani przez okupanta w latach wojny.

Niemcy pod byle jakim pretekstem aresztowali i torturami starali się wymusić zeznania o ruchu oporu. Masowo przeprowadzane łapanki w wioskach polskich musiały trafić i na tych w konspiracji. Nie było wsi, by większość mieszkańców nie była w ruchu oporu. Tak więc w pierwszej masowej egzekucji, dokonanej już 12.IX.1939 w okolicach Puszczy Mariańskiej, giną: proboszcz z Noskowa ks. Ignacy Czemplik, klerycy Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów M.N. Józef Gembiak, Franciszek Glados, Franciszek Muńko, Józef Rogosz. Aresztowany 4 kwietnia 1940 r. proboszcz parafii Puszczy Mariańskiej ks. Jan Kuydowicz ginie na Pawiaku w 1940 r. Giną pod kulami esesmanów ks. Henryk Figat, kapelan Zakładu Studzieniec, Ludwik Pade — dyrektor tego zakładu i gł. księgowy Stanisław Kajzer, Józef Walor, Tadeusz Izbiński, Ignacy Bergander pseud. „Rogacz”, Kazimierz Choiniński, pseud. „San”, Józef Goździarski, Przemysław Kowara, Stanisław Majorowicz pseud. „Korab”, Zygmunt Słojewski pseud. „Sęp” — szef kompanii „Perskiego”, Eugeniusz Troszczyński pseud. „Olówek”, Stanisław Troszczyński pseud. „Borowik”.

Dziś w tej spokojnej, cichej osadzie, oddalonej od gwaru miast i dróg kolejowych, starsi pamiętają tylko strzały i wrzaski rozbitych żołdaków hitlerowskich.

Dzieci spokojnie bawiące się na drodze nie znają grozy śmierci, nie słyszą jęku konających.

Ciężko było żyć — mówi p. Bolesław — Niemcy nie wahałi się używać najgorszych sposobów, byle zmusić aresztowanego do „sypania”. 4 marca 1944 r. aresztowali we wsi Budy Zaklasztorne Tadeusza Druźnika pseud. „Huragan” wraz ze St. Majorowiczem, St. Kucharskim i innymi.

Zamknięty w piwnicy w obozie śmierci przygotowywał ucieczkę... Jednak współwięzień doniósł o tym żandarmom. Kara była straszna. Zbitego, na pół przytomnego przypalano płonąca lampą karbidową. Szary wielki wilczur rwał zębami jego ciało.

Tak postępowali ci, co zwali się „nadludźmi”. Z tej wsi zginęło jeszcze więcej mieszkańców.

Stanisław Godlewski rozstrzelany był w Warszawie w dn. 17.IV.1944 r., w powstaniu na barykadzie przy Wilczej 26 zginął Józef Polańczyk, Waclaw Szprut, Czesław Śliwiński zginęli w obozach.

Jana Majorowicza załuczono kijami. Nie wydał jednak nikogo z tych, którzy go ukrywali. Strzał patrolu zabił wędrownego szewca nieznanego nazwiska. We wsi Bednary Niemcy podpaliłi zabudowania Józefa Rastawickiego, którego zastrzelili, gdy ten ratował się ucieczką z płomieni. Uciekając z płonącej chaty zginął również Władysław Wojciechowski. Na rozlepionych afiszach w dzień po egzekucji czytało się nazwiska: Stanisław Dymecki, Władysław Dudziński, Edward Sankowski, Antoni Strzelczyk, zabici 23.IX.1943 r. wszyscy ze wsi Michałów. Na tym samym obwieszczeniu widnieją nazwiska mieszkańców wsi Wincentów: Jan Błaszczak pseud. „Kalina”, Marian Błaszczak pseud. „Kaleń”, Ignacy Wrocławski pseud. „Wiech” — drużynowy z plutonu Zbika.

4.II.1944 r. żandarmi aresztują we wsi Łajszczewo Stare Juliana Rastawickiego, Hipolita Gadomskiego, Bronisława Felczaka, Tadeusza Gołębiowskiego, Zygmunta Gołę-

biowskiego, Edwarda Gołębiowskiego i Stanisława Grabowskiego.

W Antoniewie wpada w ręce Niemców ukrywający się przez 8 miesięcy w zbudowanym przez siebie bunkrze Jan Walas, wydany przez żonę torturowaną w czasie śledztwa. Zbity, pół przytomny powieszony został przy cmentarzu w Miedniewicach.

Pod kapliczką w Karolinowie umarł ciężko raniony przez volksdeutscha Bergisa — Stefan Cieślak z Bartnik, żołnierz Gwardii Ludowej oddziału Kuby. Jego towarzysze przenieśli go tam na naprędcie zrobionych noszach z karabinów przykrytych płaszczami. Atak na dom Bergisa nie udał się. Bergis zdołał się wydostać z płonących zabudowań i zbiec.

Z pobliskiej wsi Radziwiłów zginęli: Kazimierz Wolski, Tadeusz Białecki, Stanisław Wiktorowski, Wincenty Wilkowski, Jan Słojewski, Stefan i Waclaw Śledź, Wincenty Brzeziński, Władysław Jakubiak, Czesław Jakubiak i Józef Dojek.

Ze wsi Bartniki: Marian Lewandowski, Tadeusz Tomaszewski, Antoni Lewandowski, Kazimierz Bloch, Stanisław Cieślak, Kazimierz Cieślak, Sylwester Mrówczyński, Leonard Krakowiak, Ludwik Glyzie i Konstanty Kędziór.

Długa jest lista tych, którzy nie doczekali wolności. Nie wszystkich groby dało się odnaleźć. Jedni znaleźli wieczny spoczynek w pobliskich lasach, innych prochy wiatr rozniósł z dymem pieców krematoryjnych. Pamięć o nich jednak żyje w wioskach, gdzie ich rodziny zamieszkują. Dzięki takim ludziom jak kronikarz Bolesław Kieresieński, który zbiera te bolesne wiadomości w swojej okolicy, dowiedzą się i następne pokolenia, jak okrutny był faszyzm, jak straszna jest wojna i czym może być dla żyjących pokoleń odrestaurowany neofaszyzm w Niemczech.

JANUSZ CHODAK

# MATKA i SYN

**B**YŁ wieczór lipcowy. cichy i pachnący rosą. Po-  
przez wieś płynęły wo-  
nie w całej pełni roz-  
kwitłych lip, których było tu  
sporo. W niektórych chatach pa-  
liły się już światła, a z komin-  
ów domostw biły ku górze słupy  
dymu, jakby na znak, że gos-  
podynie gotują wieczerę.

W środku wsi zwanej Dąbrów-  
ka stał wyniosły kościół, a obok  
piękna, murowana plebania, zaś  
przy niej rozległe gumna i staj-  
nie. Widać było, że parafia jest  
bogata i zasobna. Tuż obok stał  
dom gospodarski rodziny Szat-  
kowskich, gdzie gospodarował  
poważny Wojciech i jego wyga-  
dana żona.

Szatkowscy mieli dwoje dzie-  
ci — córkę Kazimierę i syna Ja-  
sia, który był w Warszawie w  
szkołach. Po ukończeniu miał,  
jak się to mówi na wsi, pójść na  
księdza. Był to młodzieniec wy-  
jątkowo zdolny i miły. Uczył  
się bardzo dobrze. Był jednym z  
najlepszych uczniów i stale o-  
trzymywał stypendia. Po ukoń-  
czeniu liceum zapisał się na uni-  
wersytet i studiował filozofię.  
Rodzice byli dumni ze swojego  
syna i radowali się naprzód jak  
im to będzie dobrze, gdy Jaś u-  
kończy wyższe studia, a nastę-  
pnie teologię i będzie księdzem  
i to nie byle jakim.

Gospodarstwo Szatkowskich  
było co prawda skromne. Osiem  
morgów dobrej ziemi, porządne  
zabudowania, ładny sad i nie naj-  
gorszy inwentarz dawały w tych  
czasach przyzwoite utrzymanie  
nielicznej rodzinie. Szatkowska  
twardo dzierżyła wodze gos-  
podarstwa, ona dźwigała trzy węgły  
chaty, a Wojciech tylko jeden.  
Dzieci mieli zdolne, ale tylko syn  
poszedł na studia. Panna Kazi-  
miera nauczyła się na kursach  
krawieczyzny i gotowym groszem  
wydatnie pomagała w kształce-  
niu brata. Czyniła to z radością,  
gdyż oboje kochali się bardzo od  
wczesnego dzieciństwa.

Dziś właśnie młody Szatko-  
wski miał wieczorem powrócić do  
domu rodzinnego na ferie letnie.  
Radość tedy była wielka, atmo-  
sfera pełna serdecznego oczeki-  
wania. Co chwila matka spoglą-  
dała na wskazówki zegara wiszą-  
cego na ścianie.

— Autobus powinien już przy-  
być — rzekła nerwowo.

— On się często lubi spóźnić —  
sentencjonalnie odparł mąż.

— Pobiegne na drogę! — zawo-  
łała Kazia.

— Biegnij! — przytaknęła mat-  
ka.

— Już wiadać światła reflektorów! — wołała.

— Chwała Bogu! — zaraz tu  
będzie! — radowała się matka.

Zajrzała do kuchni, gdzie się  
gotowała kolacja, a Kazia jesz-  
cze raz sprawdziła nakrycie do  
wieczery. Tylko Wojciech Szat-  
kowski spokojnie siedział na ła-  
wie i ćmił papierosa, spoglądając

chwilami na krzątające się po  
izbie kobiety.

Na podwórzu przed chatą nagle  
dały się słyszeć czyjeś kroki. Ka-  
zia wybiegła przez sień na pod-  
wórze. Brat postawił torbę pod-  
różną na ziemi i wyciągnął obie  
ręce do siostry.

— Kaziu droga, jak się mie-  
wasz?

— Jasiu, jak to dobrze, żeś już  
jest w domu.

W sieni powitała go matka nie  
mogąc się doczekać aż wejdzie  
do izby.

— Jasiu kochany! Ale wyrosłeś!  
— Matka tuliła syna do siebie i  
trzymając go za rękę prowadzi-  
ła do izby jak królewicza.

— Patrz, ojciec, jaki to duży  
meższczyzna! — zawoła z nutą du-  
my i stanęła z synem przed Woj-  
ciechem, który wstał z ławy i  
wyciągając rękę na powitanie,  
przygarnął do siebie syna bez  
jednego słowa. Nigdy nie lubił  
wielu słów i w przeciwieństwie  
do żony był małomówny.

— Ach jak to dobrze, że już  
jesteś w domu! Chwała Bogu, sy-  
nu! — Rozbierz się, obmyj się. Tu

jest woda i ręcznik — szybko  
rzuciła słowa w wielkim podnie-  
ceniu. Zaraz będzie kolacja, syn-  
ku.

Twarz matki pałała radością.  
Uśmiechała się do syna i prawie  
bez przerwy coś mówiła. Pyta-  
ła go o Warszawę, o ostatnie eg-  
zaminy i jeszcze o wiele innych  
spraw. Ojciec od czasu do czasu  
rzucił jakieś pytanie na które  
syn odpowiadał skwapliwie. Sio-  
stra podawała do stołu. Po kola-  
cji podano herbatę.

— Bardzo się cieszę, synu że  
zdałeś wszystkie egzaminy i te-  
raz odpoczniesz — rzekła matka.  
Przybladła mi mocno. Widać, że  
nauka i to życie warszawskie w  
tych murach przyduśiło cię. Ale  
ja cię odkarmię. Przez wakacje  
wydobrzejejesz. Dwa miesiące. Ja-  
siu, to szmat czasu. Dzięki Bogu,  
jest u nas co jeść, a powietrze jak  
samo zdrowie.

Syn się uśmiechał dziwnie.

— Tak długo to nie potrwa.  
mamusiu.

— Dlaczego? Przecie masz dwa  
miesiące wakacji — zapytała czu-  
le matka.

— Ale ja, mamusiu, zamierzam  
cokolwiek zmienić moje studia  
i o tym chcę z wami jutro po-  
gadać.

— Ani mowy, synu! Musisz  
być przez całe dwa miesiące z  
nami. Niechże się tobą nacieszę.

Syn się znowu uśmiechał dziw-  
nie, trochę boleśnie i popatrzył  
na ojca, który obserwował spo-  
kojnie matkę i syna.

— Nacieszysz się, mamusiu, na-  
cieszysz — odparł syn. Ale po  
kilku dniach wyjechać muszę...

— Gdzie? Po co? Zapytała ma-  
tka porywczo.

— Do Warszawy, mamu, na  
dalsze studia.

— Jakie znowu studia. Przecie  
teraz wakacje. Cóż znowu  
chcesz studiować? Czy nie za  
wiele tej nauki?

— Nigdy wiedzy nie jest zbyt  
wiele — odparł poważnie.

— To przecie wiadomo — przyś-  
wiadczył ojciec.

Jaś lekko przybladł. Oczy mu  
zapłonęły jakimś ogniem wew-  
nętrznym i począł mówić powoli  
z pewnym trudem, jakby słowa  
które wypowiadał, wypłynęły z  
najgłębszych pokładów jego du-  
szy, jakby je wydobywał z trude-  
m, niby złomy drogocennego  
kruszcza, co tkwiły na dnie je-  
go pełnej świadomości i wiary  
złobokiej i związane były z jego  
duchem.

— Ty tego, matko, dziś jeszcze  
nie zrozumiesz, co powiem. I wy  
także. Ty ojciec i ty droga sio-  
stro. A to jest wielkie i święte.  
Ku temu ja chcę iść i do tego do-  
jdę. Wychowaliśmy się wszyscy i  
wy, i ja w atmosferze tej wsi  
pięknej i ukochanej, ale jakże  
ciemnej i zacofanej. Mnie posła-  
liście na naukę do stolicy, abym  
roznał świat i zdobył prawdę.  
Spora część prawdy i wiedzy  
zdobyłem, bowiem cała wiedza,  
to otchłań. Ale w tych wielkich  
zmaganiach poznałem prawdę.  
Wy, moi drodzy nie rozumiecie  
wielkich prądów myślowych, ja-  
kie płyną przez świat i przez na-  
szą ojczyznę. Nie wiecie, jakim

panowania nad duszami ludu  
polskiego? Zgromadził majątki,  
których wartość jest ogromna.  
Przez tysiąc lat pał hierarchię  
watykańską złotem wyciśniętym  
z ciemnego, łatwowiernego i bie-  
dnego ludu, podczas gdy ta hie-  
rarchia handlowała Polską „zaw-  
sze wierną” Watykan i naiwną  
w swojej wierze.

— Chryste Panie! Co ty wyga-  
dujesz? Farmazon się jakiś z cie-  
bie zrobił! — wrzasnęła przera-  
żona matka.

— Nie farmazon mamusiu mo-  
ja, ale człowiek świadomy wiel-  
kiej prawdy. Postanowiłem wstą-  
pić do seminarium Polskiego  
Kościoła Katolickiego, gdzie lud  
sam decyduje o swoim zbawie-  
niu.

Matka sponsowała i z otwar-  
tymi z przerażenia ustami pa-  
trzyła w twarz syna. Twarz ojca  
stała się blada jakby z niej krew  
uleciała. Siostra załkała rozpac-  
zliwie i opuściła głowę na piersi.

Matka odzyskawszy mowę jak  
furia przpadła do syna.

— Ty! Wyrodku! Prędzej mnie  
święta ziemia pokryje, zanim ty  
do nich pójdziesz! Do tych prze-  
kłetych przez ojca świętego he-  
retyków!

Syn powstał i dziwnie zmie-  
szany mówił nerwowo.

— To nie heretycy. Wierzą w  
Boga. Wierzą w Chrystusa, czczą  
Matkę Jezusa i świętych. Idą z  
narodem i dążą do tego aby Pol-  
ska była wolna duchowo, aby jej  
nikt obcy nie rozkazywał!

— I tyś już przekłety, gdy tak  
mówisz! Precz z moich oczu!  
Precz! Nie mam już syna. Wy-  
rzekam się ciebie, jesteś już obcy  
wśród nas!

Dwie wielkie łzy potoczyły się  
po policzkach młodego człowieka.  
Czuł i rozumiał ból matki i ból  
ojca. Wtem matka upadła na ko-  
lana i wyciągając spracowane rę-  
ce do syna wołała nieprztytomnie:

— Synu, synu! Co ty chcesz zro-  
bić?... ja życie bym dała za cie-  
bie.

Opanował się szybko. Dźwignął  
matkę z podłogi i posadził ją na  
ławie. Był blady jak gieźło.  
Drżącymi rękami ubrał płaszcz i  
zdjął z wieszaka kapelusz, za-  
brał stojącą walizkę studencką.  
Stanął na środku izby, popatrzył  
na matkę, na ojca i na siostrę i  
rzekł głosem pełnym łez:

— Zostańcie z Bogiem! Mnie  
czas w drogę, kiedyś mnie zrozu-  
miecie, dziś nie. Niech was Bóg  
ma w swojej opiece.

Wyszedł z rodzinnego domu w  
ciemną, parną noc lipcową, aby  
pójść pieszo do stacji kolejowej,  
leżącej o kilka kilometrów od  
Dąbrówki.

W domu zapanowała martwa  
cisza, jakby z niego wyniesiono  
trumnę z kimś bliskim.

J. WATRA-PRZEWŁOCKI



# WIADOMOŚCI Z DIECEZJI WROCŁAWSKIEJ I ZE ŚLĄSKA



WROCŁAW, chrzcielnica w katedrze polskokatolickiej

CIESZYN, widok z bramy zamkowej



WALBRZYCH, widok ogólny



## POLSKIE GRODY NA ZIEMIACH ZACHODNICH

**P**omimo wielowiekowej okupacji pruskiej Ziemia Zachodnie noszą trwale ślady polskości. Mówią o tym nie tylko zabytki kultury materialnej, ale też zachowane do dziś wśród ludności autochtonicznej zwyczaje, obyczaje i język polski oraz nazwy topograficzne rozmaitych miejscowości.

Jedną z ważniejszych dzielnic Ziemi Zachodnich jest Śląsk Opolski. Ziemia Opolszczyzny, które w XIII i XIV wieku należały jeszcze do Polski, zamieszkiwały już przed X stuleciem plemiona słowiańskie: Ślązan, Opolan i Bohrzan.

Silna akcja germanizacyjna w XIX w. i planowa polityka zacierania śladów polskości zmieniły pozornie tylko charakter miast. Miasta śląskie o nazwach czysto polskich zachowały pamiątki z czasów piastowskich i związane są historycznie z Polską.

Do takich należy Byczyna w pow. kluczberskim, pamiętna zwycięstwem w 1583 r. wojsk polskich pod dowództwem Jana Zamojskiego nad arcyksięcia austriackim Maksymilianem, który wzięty został do niewoli.

Dalej Głogów, jeden z najstarszych grodów śląskich, znany jest jako Urbs Glogovia już od 1010 r. Głogów był warownym miastem i stolicą kasztelanii głogowskiej. W r. 1108 i 1109 wstąpił się obroną przeciwko Niemcom. W 1148 r. Bolesław Kędzierzawy, cofając się przed wojskami Fryderyka Barbarossa, spalił Głogów. W 1240 r. Konrad, książę piastowski - śląski, zbudował w Głogowie potężny zamek obronny.

Opole - stolica woj. opolskiego - to prastary grodz słowiański nad Odrą, istniejący już w X w. W r. 1228 miasto otoczono murem obronnym.

W Opolu rezydowali książęta piastowscy a to: Bolesław (1163-1178), Jarosław (1178-1201), Mieczysław oraz Kazimierz. Świadectwem polskości jest prastara wieża piastowska i szczytki historycznego zamku z XIII wieku. W tamtejszych kościołach znajdują się sarkofagi książąt piastowskich.

Również prastarym grodem piastowskim jest Raciborz, który w latach 1287-1532 był stolicą odrębnego księstwa. Istnieje tu kościół z XV w. i zamek piastowski.

Stolica Dolnego Śląska - Wrocław, od samego początku istnienia państwa polskiego wchodził w jego skład. Tu w 1000 r. Bolesław Chrobry utworzył biskupstwo.

O polskości tych ziem świadczy również Olesnica nad rzeką Olesną, siedziba Piastów olesnickich do 1492 r. Źródła kronikarskie mówią, że osada Olesnica istniała już za czasów Henryka Brodatego. Najstarsza pieczęć miasta z roku 1310 przedstawiała orła polskiego. Zamek książęcy oraz szereg kościołów i kamienny ratusz mówią o przeszłości tego polskiego miasta.

Jest rzeczą charakterystyczną, że książęta olesnicy utrzymywali na swym dworze polskiego sędziego, który sprawował sądy zw. „czudami“ w prawa polskiego. Ten typ sądów zaniknął dopiero w roku 1577. Wynika z tego bezsporny fakt, że Dolny Śląsk, podobnie jak Śląsk Środkowy, znajdował się pod przemożnym wpływem polskiej państwowości. Jeszcze w XVIII wieku polskość była tu bardzo żywa i dopiero w II połowie XIX w. pod naciskiem polityki germanizacyjnej zaczęła się cotać.

Dokumentem polskości jest również duży zamek Piastów Śląskich w Brzegu nad Odrą, zbudowany w 1293 roku, a rozbudowany w 1341 przez księcia Ludwika I. Sprawiedliwego. W r. 1550 zamek został powtórnie przebudowany przez Jerzego II, księcia brzeskiego. Brzeg, jako twierdza, przetrwał do pierwszej poł. XIX w.

Pamiątki historyczne związane z polską przeszłością ziem nad Odrą i jej dorzeczem znajdziemy w starych grodach śląskich w Kluczborku, Namysłowie, Olesnie, Koźlu itd.

Nie tylko zamki były ostoją polskości i zaporą przed niebezpieczeństwem niemieckim. Ważnym czynnikiem wzmacniającym łączność z Polską była polskość ludu śląskiego, z którą Niemcy musieli się liczyć. O tym świadczą fakt, że właściciele Milicza, starej osady polskiej wymienionej już w dokumentach w 1136 r. - Maltazanowie, wprowadzili w XVIII w. nabożeństwa w języku polskim. Według spisu z 1870 r. ludność polska stanowiła jeszcze 57 proc. ogółu mieszkańców, a szkoły polskie w w. w dolinie rzeki Barcy na Dolnym Śląsku utrzymywały się do 1880 r.

Także nazwy topograficzne różnych miejscowości na Dolnym Śląsku, tej najdalej wysuniętej na zachód prowincji śląskiej dowodzą, że wymieniony region geograficzny był zawsze polski. Np. w pow. wrocławskim mamy Brzozę, Brzozowice, Brzezią Łąkę, Brzezinkę, dalej: Grabowiec, Grabów, Dębno, Dębowiec itd. Nazwy wiosek i osiedli wywodzące się od drzew masowo występujących w okolicy lub od innych właściwości naturalnych terenu - występują na Ziemiach Odzyskanych bardzo często.

Świadczy to, że te tereny były powiązane politycznie, kulturalnie i gospodarczo z Polską, że były polskie od dawien dawna.

Mijają się więc z prawdą historyczną twierdzenia historyków niemieckich popierających rewizjonistyczną politykę kół bońskich, że Ziemia Odzyskana są integralną częścią państwa niemieckiego. Historia nie kłamie.

# O MACIEJOWIE słów kilka

**W** ciągu ostatnich lat glucho w naszej prasie było o Maciejowie. Ludzie tam pisać umieją, ale chyba nikt nie zachęcił, nie doradził.

Czytelnicy „Rodziny” są żywo zainteresowani życiem Kościoła. To prawda, że na lamach „Rodziny” prezentowane są co rok nowe parafie, nowe setki, tysiące ludzi, którzy zrywają duchowe okowy watykańskie i stają z nami aby budować w Polsce Kościół polskokatolicki.

Ale terażniejszość z przeszłością się łączy. Jest ciągłość Kościoła. Jego pracy i walki.

Jedni przyszli później a inni wcześniej, lecz wszyscy służą tej samej sprawie.

Maciejów należy do najstarszych parafii narodowych. Żyją jeszcze ci ludzie, którzy byli wzywani do starostwa i sądu w Krasnymstawie za swoje przekonania religijne.

Żyją małżeństwa, które były traktowane jako konkubinaty i dzieci ochrzczone w Kościele Narodowym, którym odmówiono metryki i traktowano jako obywateli trze-



Ks. T. Apczyński udziela Chrztu św.



ciej kategorii. Dziś dorośli już ludzie pamiętają kiedy ich szykanowano w gminie, w szkole i na każdym kroku.

Dzisiaj Kościół nasz korzysta z pełnej wolności wiernych, od stopnia ich uczuciowego zaangażowania się zależy Jego przyszłość.

29 czerwca 1961 r. parafia w Maciejowie obchodziła swoją doroczną uroczystość. Na zaproszenie miejscowego duszpasterza przybyli sąsiedni kapłani: Ks. Marcin Tymczak z Gorzkowa, Ks. Jan Firlej z Grudek i Ks. Taistra z Tarnogóry.

Na nabożeństwo licznie zgromadzili się wierni, aby dać wyraz swojej wierze i swemu przywiązaniu do Kościoła. Uroczysta Suma, podniosłe Słowo Boże i piękna procesja były niecodziennym przeżyciem dla wszystkich obecnych.

Miejscowy duszpasterz Ks. Tadeusz Apczyński ochrzcił w tym dniu kilku młodych polskich katolików, a po zakończeniu uroczystości przybyłym kapłanom serdecznie podziękował za wzięcie w nich udziału.

Orkiestra z Grudek przyczyniła się do uświetnienia nabożeństwa i do podniosłego nastroju. (U)

FOTOKRONIKA ● FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ● FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

FOTOKRONIKA ●

## W ŻNIWNY PORANEK

Wiejski ranek do pól przywarł  
I rozgwarzył się żniwami...  
Słońce rosą napojone  
Zawisło nad zagonami.

Jarzą się żniwiarzy twarze  
Szumi pieśń pod skawrynym  
niebem.  
— Grają żniwne agregaty,  
Pachną lany świeżym chlebem.

Rosną kręgiem mendle, kopy,  
Skrzypią wozy, stal kos błyska,  
Chrzęszczą w dłoniach złote snopy,  
— Smętkiem wioną płowe rżyska.

Czas przetapia się na złoto  
Nawałem tworzących rąk.  
Krzepnie wiecznie młode jutro,  
— Dzisiejszość odpływa stąd.

FOTOKRONIKA ● FOTOKRONIKA ● FOTOKRONIKA ● FOTOKRONIKA ●

Br. Góralik-Bożanowski

# SPRAWY DNIA dzisiejszego

## HUMANISTYKA I TECHNIKA

Zainteresował mnie w „Przełazie Kulturalnym“ artykuł pt. „Humanistyka i technika“, który wyszedł spod pióra prof. Bogdana Suchodolskiego. Zwłaszcza zafrapowało mnie stwierdzenie:

„Ludzie naszej epoki, świadkowie wielkich triumfów techniki przeżywają niejednokrotnie uczucie sprzeczne: jedni widzą w tych zwycięstwach wyraz rosnącej wielkości człowieka, inni traktują je jako narastające zagrożenie jego życia i kultury“.

Ostatnio na łamach prasy codziennej i periodycznej pisano dużo o problemie „człowieka w przedsiębiorstwie“. Jest to problem, który dojrzał na skutek rozwoju techniki służącej człowiekowi i przez człowieka doskonałonej.

Falszywy jest pogląd o sprzeczności integralnej zawartej w pojęciach: humanizmu i techniki. Technika może stać się upraw-

dzie narzędziem zagrażającym światu.

Dzisiaj nie istnieje jednak żadna historyczna konieczność abyśmy mieli iść właśnie tą drogą. Przeciwnie! Współczesność jest epoką w której społeczeństwa próbują organizować świadomie i celowo własną przyszłość, tworzyć ją bardziej posłuszną ludzkiej woli działającej świadomie, w oparciu o zasady humanitarne.

Miasta i zakłady pracy odzyskują powietrze i słońce, przyroda zostaje ocalona przed dewastacją. Epoka automatyzacji i robotów otwiera dalsze perspektywy pojeżdżania techniki i człowieka. Już dziś to zbliżenie jest widoczne.

W tych warunkach przed humanistyką staje zadanie nowe co do charakteru i społecznego zasięgu techniki.

Postępy współczesnej techniki sprawiają, że coraz więcej ludzi musi uzyskiwać lepsze przygotowanie naukowe do pracy zawodowej. Przygotowanie to w coraz większej mierze kształci uzdolnienia twórcze. Coraz bardziej maleje w życiu społeczno-zawodowym wartość mechanicznej rutyny. Coraz bardziej wyrasta rola wykształcenia wszechstronne-

go rozwijającego inteligencję i wyobraźnię ludzką, a więc i wykształcenia humanistycznego.

Równocześnie nowoczesny rozwój techniki sprawia, że praca ludzi staje się coraz bardziej zespołowa i wymaga coraz większych umiejętności społecznego współdziałania, jak również określenia społecznych form jej organizacji i społecznych skutków.

W tej sytuacji technika i humanizm podają sobie rękę w służbie człowieka. Za sprawą techniki możliwe się staje wyzwolenie szerokich rzesz ludzi od głodu i nędzy, ciężaru w pracy fizycznej, ciemnoty i zaniedbania kulturalnego. Humanistyka zyskuje szeroki i ważny zakres działania w budowaniu społecznych form życia i wychowaniu ludzi na miarę dzieł, które stwarzają. Przymierze techniki i humanistyki jest skutkiem i zarazem rękomią tej wielkiej perspektywy zdobywania przez ludzi bardziej skutecznego panowania nad przyrodniczymi, a równocześnie i nad społecznymi warunkami ich życia jakie realizuje się w naszej epoce.

Zamiast sporów między technikami i humanistami, historyczna rzeczywistość naszych czasów pozwala już postawić program

ich współdziałania. Program ten obejmuje szerokim zasięgiem wszystkie dziedziny ludzkiej działalności świadomej: politykę społeczną i planowanie (wszystkich kategorii), organizację oświaty i treść nowoczesnego wykształcenia, przygotowanie kadr do pracy w zawodach wytwórczych i usługach, koncepcję filozofii, nauki i sztuki. We wszystkich zakresach ustalenie i powiązanie wartości humanistycznych i wartości technicznych wymaga wysiłków, przyspieszających te procesy.

I chociaż wielu ludzi ery atomowej, ery robotów i ery astronautycznej patrzy z niepokojem na wzrost ludzkiej potęgi technicznej, pozwalającej wyjść daleko poza krąg dotychczasowej władzy nad przyrodą — sądzimy, że ludzie naszej epoki, wznosząc się ponad urojone przeciwieństwa człowieka i jego twórców, potrafią kształtować ludzi i rzeczy. Jest wielka szansa, że zobaczą oni ten ludzki świat budowany w Kosmosie, jako swe własne dzieło, w którym społeczna mądrość staje się podstawą i wynikiem współdziałania humanistów i techników, pod warunkiem, że ten humanizm będzie oparty o zasady etyki chrześcijańskiej.

ADAM KŁOS

# UNIVERSUM POMAGA POLAKOM Z ZAGRANICY

## JAK

WIELKIE było zdziwienie p. W. kiedy okazało się, że brat jej żyje, nieźle mu się powodzi i mieszka na stałe w Szwecji. Zdziwienie tym większe, że ta sędziwa kobieta szukała go od zakończenia wojny i znikąd nie otrzymywała wiadomości o losach swego brata. Uznała go za zaginionego, żarliwie modliła się za spokój jego duszy a na cmentarzu w miasteczku rodzinnym postawiła nawet bratu niewielki nagrobek. To też zaniemówiła, kiedy przedstawiciel Spółdzielni „Uniwersum“ wręczył jej list od brata, jego adres i udzielił szeregu innych informacji.

— Nasza spółdzielnia — mówi prezes Spółdzielni „Uniwersum“ p. Gabriel Sikora — w ciągu kilku lat swego istnienia niejednokrotnie odszukała ludzi uważanych przez najbliższych za zaginionych. Jako jedyna tego rodzaju placówka w Polsce zajmujemy się również innymi usługami na zlecenie zagranicznych klientów — Polaków mieszkających na stałe w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Australii, NRF, Szwecji i innych krajach.

— Z jakimi zleceniami zwracają się najczęściej do spółdzielni wasi zagraniczni klienci?

— Najczęściej proszą o odszukanie rodzin, ale również popularną usługą przez nas świadczoną jest doręczanie kwiatów nawet do najodleglejszych zakątków kraju, pośredniczenie w uzyskiwaniu różnych dokumentów jak np.

metryk, wyciągów z ksiąg parafialnych, świadectw ślubu itd.

Wystarczy, żeby klient napisał do nas list, wymienił rodzaj usługi, a my natychmiast sprawę załatwimy. Oczywiście pobieramy za to opłaty które należy przekazać w dewizach na konto Banku PKO za pośrednictwem akwizytorów tej instytucji, działających we wszystkich skupiskach polonijnych.

— Czy to są usługi bardzo kosztowne?

— Pobieramy opłaty nieduże, skalkulowane tak, by pokrywały faktyczne koszty usługi. Np. za doręczenie wiązanki kwiatów w dniu czyjś ślubu, imienin lub urodzin pobieramy 5 lub 9 dolarów. Poszukiwanie krewnych lub bliskich kosztuje 5 dolarów, wyciąg z ksiąg parafialnych, jak np. świadectwo urodzenia, zgonu lub ślubu kosztuje 4,5 dolara. Może też zainteresuje czytelników „Rodziny“, że za pośrednictwem naszej firmy można zamówić nabożeństwo w swej rodzinnej parafii.

Tak więc ceny nie są wygórowane, idzie nam bowiem głównie o to, żeby pomóc ludziom, którzy mieszkają z dala od kraju, w załatwieniu ich ważnych spraw — pragniemy stworzyć swego rodzaju pomost między Polską a krajem.

— Czy spółdzielnia zamierza w przyszłości zająć się także innymi usługami?

— Ze względu na duże zainteresowanie naszą działalnością ciągle wprowadzamy nowe rodzaje usług. Ostatnio na zlecenie z zagranicy wysyłamy pamiętki z kraju. Niebawem rozpoczniemy wysyłanie paczek z kraju do krewnych za granicą. Wiele bowiem osób stara się zrewanżować za otrzymywane dary i my im w tym pomożemy. Pragniemy wreszcie pomóc mieszkańcom odległych wiosek i miasteczek w załatwianiu formalności przy wyjeździe za granicę. Pomagamy im w rezerwowaniu miejsca w samolocie lub na okręcie, odprowadzamy naszego klienta na dworzec, lotnisko, lub nawet do portu w Gdyni. Nie jest wykluczone, że pomagając będziemy także przy załatwianiu dokumentów związanych z wyjazdem. Jednym słowem wystarczą, aby klient z zagranicy napisał do nas list, wpłacił pieniądze na konto Banku PKO

a my po krótkim czasie zawiadamy go o przebiegu sprawy z jaką się do nas zwraca.

Dziękujemy Panu Sikorze za poinformowanie nas o działalności Spółdzielni „Uniwersum“ a do wiadomości czytelników podajemy adres tej niewątpliwie pozytywnej i jedynej w kraju placówki: „Uniwersum“, Warszawa ul. Emilii Plater 25.

## DBAJMY O WŁOSY

Od tysięcy lat kobiety wszystkich ras i narodów pielęgnowały tę naturalną ozdobę, jaką są włosy. W różnych wiekach różnie ta pielęgnacja się przejawiała: pudrowaniem i smarowaniem tłuszczem, odbarwianiem i barwieniem, stryżeniem i misternymi puklami. Obecnie ogólnie panuje moda na włosy noszone krótko. Co prawda krótkie włosy są bardzo wygodne, ale jeśli tryzura ma być porządna, wymagają bodaj więcej starań niż długie.

Dla własnej wygody i dla „zdrowia“ naszych włosów mam więc tylko jedną radę: pielęgnować je w sposób jak najbardziej naturalny, uciekając się do środków sztucznych tylko w ostateczności.

Pytanie zasadnicze: co należy używać czesząc się — szczotkę czy grzebień?

Dla zdrowych, mocnych włosów codzienny parominutowy masaż szczotką jest dobrodziejstwem. Szczotka nie tylko usuwa dokładnie kurz i brud, ale również ożywia krążenie krwi w skórze i nadaje włosom piękny, jedwabisty połysk. Im bujniejsze włosy, tym twardsza powinna być szczotka. Najlepsze są szczotki z włosów, można też używać szczotek nylonowych. Stanowczo jednak odradzam szczotek druczanych, które łatwo mogą uszkodzić naskórek i spowodować trudnogojące się zakażenie skóry. (A. M.)

## ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

SYMPATYK z Gołdapi, woj. Białostok, napisał miły list i wyraził uznanie dla „Rodziny”, za które dziękujemy serdecznie. Napisał w liście także, że podziela nasz pagłąd, ale nie wszyscy Jego najbliżsi z Nim się zgadzają.

Zdajemy sobie z tego sprawę, że nie wszystkich mamy za sobą. Z Chrystusem też się nie wszyscy zgadzali. Kapłani Kościoła Jego ojców przy pomocy władz rzymskich zaprowadzili go na szubienicę.

Zbyt mało ludzi jeszcze w Polsce odróżnia istotę katolicyzmu od watykanizmu, a zasady wiary od instrukcji obcej administracji kościelnej. Chodzi nam jednak o to, aby człowiek który poznał tę prawdę, mógł nią promieniować i innych uświadamiać.

„Poznajcie prawdę, a prawda was wolnymi czyni” — powiedział kiedyś Jezus do swoich uczniów. Lecz światła nie można chować pod kocem. Trzeba nim świecić, bo w Polsce na odcinku religijnym jeszcze bardzo jest ciemno. Więcej pod strzechą spotkać można senników egipskich niż Nowych Testamentów. Kiedyś przed wojną wielu światłych i wykształconych ludzi pisało listy do Boya Żeleńskiego z wielkim uznaniem dla jego walki z wszelkimi objawami obskurantyzmu, kołtuństwa i zacofania. Prosilili jednak w obojętnej sprawie przed szukanami, aby ich listów nie ogłaszał drukiem.

Boy Żeleński napisał kiedyś w jednym z artykułów, że czuje się jak młoda służąca, którą pan, gdy nikt nie widzi, podszczypuje i

prawi komplementy, ale na ulicy się nie kłania i udaje, że jej nie zna.

Nam też, Drogi Sympatyku, nie wystarczą komplementy i uznania. Trzeba mieć odwagę przyznać się do Sprawy, którą reprezentujemy, o którą walczyliśmy z najgłębszą wiarą i przekonaniem.

Trzeba innych przekonać, że dla wierzących Polaków i katolików droga, którą do zbawienia prowadzimy, jest najbardziej słuszną.

Gdyby wszyscy się bali „plotek dewotek” jak Pan pisze, to plawilibyśmy jeszcze w Polsce czarownice, a za jedzenie mięsą w piątek wybijanoby nam zęby.

Jeżeli jest trochę jaśniej na świecie, to tylko dlatego, że ludzie walczyli o prawdę, o postępek, o światło i nie tylko nie bali się tego, co dewotki powiedzą, lecz szli do więzienia, a często i życie dawali za swoje przekonania. Oczywiście do tego potrzebny jest nie tylko umysł, lecz silna wola, charakter i wiara, że się służy Bogu i Narodowi.

Proszę pomyśleć, co Pan może zrobić dla „Rodziny” na swoim terenie? Przydałaby się pomoc ze strony Pana, bo w Białostockim w wielu miejscowościach jeszcze straszą mroki średniowiecza.

Pozdrawiamy serdecznie.

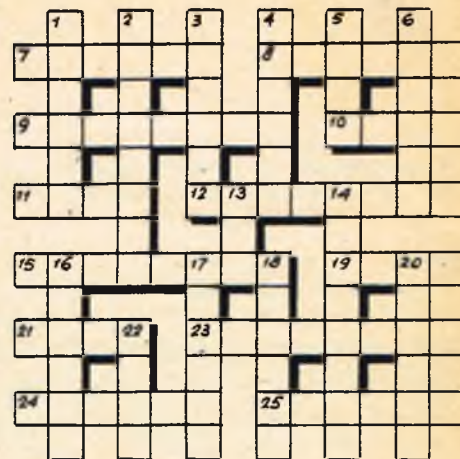
Dziękujemy Pani Janinie KAPROCKIEJ z Legnicy za list miły i inteligentny, ale z Panią to inna sprawa, która wymaga osobistego kontaktu. Dlatego czekamy na rozmowę z Panią w Legnicy lub we Wrocławiu. O przyjeździe naszym zawiadomimy.

Panu Wiesławowi HOCHOWI z Głowna k/Łowicza za list dziękujemy. Był serdeczny i miły, a artykuł będzie wydrukowany.

Liczymy trochę na Pana Wiesława, że kilku czytelników zjedna dla „Rodziny” i sądzę, że się nie zawiedzimy. Komu bowiem więcej dano, od tego się więcej wymaga. A Pańska droga do polskiego katolicyzmu nie była prosta ani łatwa.

Pozdrawiamy serdecznie.

## KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 7) tytuł powieści Reymonta, 8) kamizelka góralska, 9) przewlekły silny ogień artyleryjski, 10) koniec wyścigu, 11) brutalna zagrywka w sporcie, 12) święto zmarłych, 15) szlifowane wagi, 16) przepływa przez Opole, 21) uszczerbek, 23) nieduże urzewo egzotyczne, którego nasiona (orzyszki) są jadalne i mają dość duże zastosowanie w cukiernictwie, 24) wybitne uzdolnienie, 25) huragany.

PIONOWO: 1) „gloria” ale po polsku, 2) jeden z trzech największych tragediopisarzy starożytnej Grecji, 3) literat, 4) krewniak kilofa, 5) jednostka wagi, 6) tytułowy bohater noweli Sienkiewicza, 13) marka radioaparatu, 14) autor „Beniowskiego”, 16) rozdzierał swe szaty na Sejmie Warszawskim w r. 1773, 17) papierowe obcice ścian, 18) hałas, stuk, odgłos upadku, 20) notariusz, 22) brat Kaina.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka”. Wśród Czytelników, którzy nadeszli prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda:

PLATER

\*

Rozwiązanie krzyżówki z nr-u 27

POZIOMO: koncept, sztylet, wat, Karpacz, sek, Lem, Granica, kir, Rolland, Natalia, Andrycz, chmurka, twa, Arianin, typ, kos, dorobek, wał, Rodzina, Rodezja.

PIONOWO: kawaler, nit, Elk, Tyrmand, stadion, tuz, lis, tokarka, melodia, Grażyna, antymon, koloryt, autokar, zbiórka, cynober, ampulka, sad, dni, kod, wóz.

Nagrodę w postaci zegarka na rękę wylosowano dla p. JÓZEFA KARWOSKIEGO, Warszawa, ul. Schroegera 82.

## WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE WARSZAWA, ul. Szwoleżerów 4

przyjmuje kandydatów do stanu duchownego.

Ci, którzy pragną poświęcić się służbie Bożej w Kościele Polskokatolickim, winni przysyłać pod adresem Kurii Biskupiej w Warszawie, ul. Wilcza 31 podanie dotychczas doń:

- 1) życiorys, 2) metrykę urodzenia, 3) świadectwo szkolne,
- 4) świadectwo lekarskie, 5) trzy fotografie.

Odpowiedź otrzymają w ciągu 10 dni.

## KALENDARZ

20	N	XIII po Zesł. Ducha Św., Bernarda.
21	P	Joanny
22	W	Niepok. Serca NMP
23	S	Filipa, Apolinarego
24	C	Bartłomieja Ap., Jerzego
25	P	Ludwika, Patrycji
26	S	Zefiry, Konstacji

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 8-97-84; 21-74-88. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urząd Pocztowo-Listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 - Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie - zł 25, półrocznie - zł 52, rocznie - zł 104. Cena prenumeraty za granicą jest o 40% wyższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-6-100024.

Zakłady Włókiendrukowe BSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 1248, 8-47.

# CZARNI i BIALI

Fot. 1

Wiceprezydent St. Zjedn. Johnson, towarzyszy przy obiedzie żonie premiera ministrów pani Dia.

Fot. 2

Prezydent Senegalu Senghor z małżonką swoją w czasie rozmowy na tematy niemilitarne. Pani Senghor z pochodzenia Francuzka, po ukończeniu uniwersytetu w Sorbonie, prowadziła w Senegalu ożywioną działalność kulturalną wśród obywateli tego kraju.

Fot. 3

Prezydent Senghor w rozmowie z Lady Bird na tematy dalszej współpracy w zakresie profilaktyki chorób właściwych krajom wschodnim.



## UWAGA! CZYTELNICZY! UWAGA!

### KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY „RODZINA”

ogłasza dla swych Czytelników

#### KONKURS NA PRENUMERATĘ

Każdy ma szansę wygrać:

- Rower (I nagroda)
- Aparat fotograficzny (II nagroda)
- Zegarek (III nagroda)
- Komplet księzek W.L.R. (IV nagroda)

oraz wiele innych cennych nagród.

#### NALEŻY TYLKO

zaprenumerować „Rodzinę” na kwartał w oddziale lub delegaturze „Ruchu”, u listonosza, na pocztę lub przekazem w administracji naszego pisma i pozyskać co najmniej jednego prenumeratorkę.

Wypełniony kupon wraz z dowodem prenumeraty należy wysłać do redakcji tygodnika „Rodzina”, Warszawa ul. Wilcza 31 z dopiskiem na kopercie „KONKURS NA PRENUMERATĘ”, najpóźniej do 20 września 61 r.

Każdy kupon bierze udział w losowaniu. Im więcej kuponów, tym większe szanse wygranej.

KUPON

Stempel

Imię i nazwisko .....

Adres .....

Zaprenumerowałem .....

Zwierzbowiałem .....

Imię i nazwisko .....

Adres .....